Nr. 21. Warszawa, d. 1 Listopada 1907 r. R. IX.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyżka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).



KALENDARZYK MYSLIWSKI.

W listopadzie wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) listopada na klępy, łanie i kozy.

Lunacya w listopadzie.

Nów d. 5 o g. 12 m. 13 w.
Pierw. kw. d. 12 o g. 6 m. 48 w.

Wschód i Zachód Słońca

w listopadzie.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	6	57	5	27
2	6	59	4	25
3	7	1	4	23
4	7	3	4	21
5	7	5	4	19
6	7	6	4	17
7	7	8	4	15
8	7	10	4	14
9	7	12	4	13
10	7	14	4	11
11	7	16	4	9
12	7	18	4	7
13	7	20	4	6
14	7	22	4	5
15	7	24	4	3

DZIEŁA MYSLIWSKIE

wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego".

„Kuropatwa szara, czyli pospolita". Monografia, napisana przez *Juliana Bieśkierskiego*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Dzieło to, z licznemi illustracyami w tekscie, traktuje wyczerpująco hodowlę i ochronę tego ptaka, który jest stałym mieszkańcem pól naszych i jako taki, winien być dokładnie przez naszych myśliwych poznany. **80 kop.**

„Kuropatwa". Monografia, napisana przez *Wiktora Stephana*, nadleśnego dóbr Wilanowskich. Dzieło to równie jak i poprzednie, zawiera liczne, objaśniające rysunki i równie wyczerpująco traktuje hodowlę tego kulturalnego ptaka. **60 kop.**

„Sarna". Monografia sarny, napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop.**

„Zając pospolity". Monografia, napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. pr. myśl. Monografia ta wyczerpująco przedstawia tego najpospolitszego na naszych polach zwierza, stanowiącego najważniejszy objekt łowiectwa naszego. **70 kop.**

„Hodowca a myśliwy" przez *Ernesta hr. Sylwa Tarauca*. Autor cieszy się opinią wybornego znawcy rzeczy myśliwskich, zarówno w Czechach, jak w całych Niemczech. Podręcznik ten winien się znajdować w rękach każdego prawdziwego myśliwego. **1 rb. 20 kop.**

„Hodowla bażantów" przez *Goedde*. Dzieło to, uzupełnione i poprawione przez królewskiego bażantarnika z Fürstenwaldu na Śląsku, Staffel'a, jest dotychczas uważane za najlepszy podręcznik w hodowli bażantów w Niemczech. Liczne rysunki objaśniają tekst dzieła. **1 rb.**

„Bażant łowny" przez *C. Cronau*. Autor niemiecki, cieszący się największem uznaniem wśród swoich ziomków, a którego zdanie cenią i zagranicą, jako jednego z najlepszych znawców aklimatyzacyi i hodowli ptactwa łownego, a bażanta w szczególności,—kreśli w tem dziele monografię bażanta, jego pokrewnych gatunków, historyę hodowli bażanta, oraz wskazuje sposoby hodowli tego ptaka i zakładania bażantarni. Wykład popularny, ale gruntowny. **1 rb. 50 kop.**

„Żywienie jeleni i sarn" napisał *Dr. Max Neumeister*, dyrektor Królewsko-saskiej akademii leśnej. Dziełko to wskazuje, jak i kiedy żywić należy swoje zwierzostany, aby dochować się licznych i pięknych egzemplarzy. **60 kop.**

„Sztuka strzelania i polowania" przez *Karola Lancaster'a*. Dziełko to napisane przez wybornego znawcę broni, jako pierwszorzędnego puszkarza wszechświatowej sławy, zawiera niezmiernie cenne wskazówki teoretyczne i praktyczne dla każdego strzelca. Jest to cała teorya strzelania, którą każdy myśliwy przyswoić sobie winien koniecznie. **80 kop.**

„Pies zdrowy i chory" przez d-ra *O. Hilfreicha*. Popularny podręcznik dla posiadaczy psów, a zwłaszcza myśliwych, mający duże powodzenie w Niemczech, zawiera ważne wskazówki, jak obchodzić się z psem od najmłodszego szczenięcia, oraz przepisy i recepty na różne choroby i przypadłości naszych faworytów. Tekst objaśniają liczne rysunki. **1 rb. 20 kop.**

„Myślistwo z ogary" przez *Jana hr. Ostroroga*, wojewodę Poznańskiego. Dwa wieki przetrwała ta praca, nie straciwszy nic na swojej świeżości i, jak ongi, tak i dziś może być czytana z największem zajęciem, tembardziej, że zawiera w sobie skarbnicę starej naszej gwary myśliwskiej. **75 kop.**

„Żelaza i pułapki myśliwskie" przez *Rudolfa Webera*, z podobiznami wszelkiego rodzaju żelaz i pułapek. Dziełko to obznajmia dokładnie ze sposobami użycia żelaz i pułapek w celu niszczenia drapieżników, zarówno czworonogich, jak i skrzydlatych. Cieszy się ono w Niemczech ogromnem rozpowszechnieniem, jako napisane przez znanego specyalistę i wynalazcę rozlicznych samołówek w celach myśliwskich. **75 kop.**

„Myśliwy, jako preparator i kolekcyonista przez *Ernesta v. Dombrowskiego*. Podręcznik dla pragnących obznajmić się ze sposobami preparowania trofeów myśliwskich. **50 kop.**

„Ornitologia łowiecka" przez *Jana Sztolcmana*. Jest to zszeregowanie całej naszej fauny pierzastej, łowieckiej, wyszczególniające i klasyfikujące nasze ptactwo łowne i szkodne. **80 kop.**

„Notatki myśliwskie z Indyj" przez *dzieła hr. Potockiego*. Dzieło to, pełne najwyższego interesu dla każdego sportsmena-myśliwego, wyszło przed kilku laty nakładem autora w wydaniu illustrowanem i tak wykwintnem, jakie tylko spotkać można wśród najdroższych wydawnictw zagranicznych. Wydanie to, pomimo wysokiej ceny, zupełnie wyczerpane zostało. Ażeby uprzystępnić szerszemu kołu naszych myśliwych zapoznanie się z cennym tekstem tego dzieła, wypuszczamy je w wydaniu taniem. **75 kop.**

„Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu" — Cejlon — przez *Józefa hr. Potockiego*. Wszystkie uwagi nasze zamieszczane przy poprzedniem dziele, stosują się w całości i do tych notatek. **75 kop.**

Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Świętokrzyska Nr. 36) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17).



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 207.

Nr. 21.	Warszawa, d. 1 listopada 1907 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok IX.



PORANEK JESIENNY.

ZNACZENIE ŁOWOW W AUSTRYI

pod względem gospodarczym.

(Przemówienie cesarskiego radcy W. R. Hubera, w wiedeńskim klubie łowieckim, 19 lutego 1907 r.).

Łowy istnieją od chwili, od której zaistniał świat.

Pierwotnie powstały one z walki o byt, wyłoniły się z instynktu samozachowawczego, służyły do pozyskania odzieży i środków żywności, a zatem słusznie można utrzymywać, że już w niepamiętnych czasach można im było przypisać znaczenie gospodarcze.

Polowanie wykonywano z początku za pomocą środków, jaknajbardziej prymitywnych, a im prostsze były przyrządy myśliwskie, tem większej siły, odwagi i energii wymagało polowanie.

Dlatego uważano łowy zawsze jako zajęcie rycerskie, krzepiące ducha i ciało, a kultywowanie jego przygotowywało młodzież i dojrzałych do wojennego rzemiosła.

Później uprawiano łowy wedle oznaczonych reguł, które starożytni Grecy i Rzymianie utrwalili w licznych, bardzo zajmujących dziełach, a w których wybitną rolę zajmowały opisy myśliwskich przyrządów i sztuka wykonywania łowów.

Liczne są bardzo, przez mnogie narody przekazane nam tradycye, które wielbią i opiewają łowy, jako wyraz prawdziwej męzkości.

Miller nadmienia w swej wybornej broszurce „Myślistwo starożytnych Greków i Rzymian", że Ksenofont, Arryan, Oppian, Gracyusz, Faliscus i Nemezyan opiewali łowy wierszem i prozą i że szczególniej Ksenofont uznawał w całej pełni etyczne i estetyczne znaczenie łowów, mianując je darem od bogów udzielonym, za który winniśmy im wdzięczność. U przełomu wieków średnich, po reformacyi, lecz przed wynalezieniem prochu strzelniczego, osiągnęło wykonywanie łowów swój punkt kulminacyjny pod względem jakości.

Łowy na podchodne na jelenie, dziki i tury, łowy par force i z naganką, wreszcie polowanie na czaple, tworzyły kwintesencyę ówczesnej sztuki łowieckiej, której prawidłowe uprawianie ceniono i uznawano, jako znamienitą umiejętność.

Sam cesarz Maksymilian I sławił słowem i piórem pożyteczność i etyczne znaczenie łowiectwa.

Dlatego też winniśmy dzięki św. Hubertowi za to, że członkowie naszego najdostojniejszego cesarskiego domu, na czele z naszym dostojnym, najwyższym myśliwym, wierni idealnym zapatrywaniom swego rycerskiego protoplasty, z równem upodobaniem hołdują myślistwu. W opiekuńczej dłoni naszego ukochanego monarchy, mamy pewną rękojmię, że łowy w Austryi będą kwitły i nadal.

Również wszyscy nowocześni klasycy, jako też pisarze nowych kierunków, zaznaczają przedewszystkiem etyczne znaczenie łowów i przyznają im zupełną słuszność ze względu na ich uszlachetniający wpływ, wywierany na wykształcenie i charakter człowieka.

I dziś jeszcze wykonywują łowiectwo dzikie i koczujące ludy nietylko w tym celu, by zaspokoić swe potrzeby co do żywności i odzieży, lecz łowy służą im również do pozyskania przykrycia, skór i innych myśliwskich, pozbywalnych trofeów, które w handlu mieniają za przedmioty, których im nie dostaje. Że wzrostem kultury, a w szczególności z postępem chowu bydła i uprawy roli, usuwano wciąż łowy na dalszy plan, a w cywilizowanych częściach świata i krajach traktują je przeważnie jako sport; uprawiają je w tych krajach w myśl oznaczonych zasad, a wykonywanie polowania jest dziś umiejętnością taką samą, jak którakolwiek inna.

Wykładają ją w uniwersytetach i niższych, specyalnych szkołach, a wykonywanie tej umiejętności stanowi zawód dla wielu osobników.

Lecz polowanie nie jest sportem, uprawianym li dla przyjemności, stanowi ono bowiem potężny czynnik w życiu gospodarczem i nastręcza krajom, gdzie je racyonalnie wykonywują, uprawiają i kultywują, źródło bogatych, materyalnych i etycznych korzyści!

Już w 18 stuleciu stanowiła hodowla zwierzyny, w odniesieniu do rozwijającej się kultury, przedmiot sporu między czynnikami, uprawiającymi gospodarstwo leśne i rolne, a właścicielami polowania. Dopiero w 19 wieku wprowadzane kolejno, prawne

W OWSIE.

Skwarny, lipcowy dzień dobiegał do końca. Wracałem z polowania zmęczony, cały obwieszony pomordowanymi cietrzewiami i pardwami, i właśnie przechodziłem przez dziedziniec folwarczny, gdy raptem, z tyłu, ktoś zaczął wołać:

— Paniczeńku, a, paniczeńku! poczekaj troszeczkę; *u mnie jest mały jenteres.*

Odwróciłem się i ujrzałem biegnącego ku mnie, z potężnem sapaniem, Bartłomieja, dzierżawcę folwarku. Zatrzymałem się. Dopadł mię wreszcie, łapiąc oddech, gdyż tuszę miał okazałą, — i robiąc tajemniczą minę, wyszeptał:

— Do mnie niedźwiedź na owies chodzi.

— No? naprawdę? a gdzie? może tak tylko, cóś innego?—pytałem, wiedząc z doświadczenia, że plotki często kursują.

— A ot, dalibóg naprawdę, sam widziałem dobrze, ogromny! Wczoraj wyszedłem w nocy, słyszę, *wozi się* coś w owsie; tak ja zaraz po Fiedźkę, wie panicz, mego parobka, bo to samemu straszno, i zaraz poszli. Aż Fiedźko mówi: Aj! niedźwiedź, i w nogi. Ja też popatrzałem, że chodzi, owies łamie, więc też poszedłem do domu. Paniczeńku drogi! przyjedź dziś wieczorem popilnować, *a to ze wszystkiem* owies zje.

Nie bardzo ja wierzyłem w jego gadanie, gdyż, jak wiadomo, strach ma wielkie oczy. Może Bartłomiej posłyszał żerującego zająca i zrobił z niego niedźwiedzia. Obiecałem jednak przyjechać, i tegoż wieczora byłem w folwarku. Tylko się trochę spóźniłem, i było już ciemno, gdy zajechałem pod malutki ganeczek folwarcznego dworku.

— Ot, chwała Bogu, że panicz przyjechał — rzekł Bartłomiej — a to już myślałem, że *cości* przeszkodziło.

Wkrótce potem, w zupełnych już ciemnościach, posuwaliśmy się w kierunku pola, zasianego owsem, i podłużnym pasem wrzynającego się w las. Miałem obie lufy nabite kulami, Bartłomiej zaś był uzbrojony w siekierę. Noc była ciemna, choć pogodna; na niebie gorzały miliony drgających i mrugających gwiazd. Ziemia, nagrzana w ciągu dnia palącymi promieniami słońca, parowała silnie, a z łączek, wśród pól, i wedle lasów położonych, wstawały i stały się białe mgły.

— A, ot, już jest; *kopie się* w owsie — szepnął raptem Bartłomiej, stając nagle i zwracając się ku mnie. Rzeczywiście, z niezbyt już oddalonego półka owsa dochodziły jakieś podejrzane dźwięki; szeleściał owies; to znów słychać było jakby jakieś mlaskanie.

— Jaki bezpieczny—dodał Bartłomiej — tuż pod chatą, i jakby nic; gospodaruje, jak na swojem.

przepisy i rozporządzenia wskazują łowom ich właściwe granice.

Wszystkie te ustawy usiłują wprowadzić wyrównanie, które wprawdzie chroni dostatecznie rolne i leśne gospodarstwo przed szkodami, zrządzonemi przez zwierzynę i polowanie, lecz które wypada na niekorzyść samego polowania i uprawiających je myśliwych, gdyż dominująca zasada tych ustaw zdąża bez wyjątku do jaknajdalej sięgającego ograniczenia, a nawet do zupełnego zniesienia polowania.

Przemówieniem mem dzisiejszem chcę właśnie wykazać, jak nieusprawiedliwione są te usiłowania; celem moich wywodów jest skruszyć kopię w sprawie polowania.

Nim poruszę właściwy temat—gospodarcze znaczenie łowów w Austryi—proszę o pozwolenie przytoczenia dat co do dochodów z polowań w innych krajach, które to daty wielokrotnie i w znakomity sposób omówili i opublikowali pp. Japing, Eheberg i Dr. Schwappach. Dowiemy się z nich, że dochód z polowania w Rosyi jest ogromny, ze względu na liczny wywóz futer, wynoszący rocznie 300 milionów rubli, t. j. 750 milionów kor., że wartość ubitej rocznie zwierzyny w Niemczech obliczają na 20 milionów marek i że umowy dzierżawne o polowania, wedle położenia miejscowości, dają od 12 fenigów do 10 marek za hektar. W Szkocyi płacą za odstrzelenie bagiennego kuraka 10 szylingów, a cena za odstrzał rogacza wynosi 100 marek za jedno odroże.

Znana taryfa dla odstrzałów w węgierskim c. k. zarządzie lasów państwowych ułożona jest na podstawie analogicznych cyfr.

Dochody z kart myśliwskich są również bardzo znaczne.

W Prusiech wydano w roku 1903 około 160,000 kart myśliwskich, które przyniosły dochodu około $2^1/_2$ miliona marek.

W Niemczech przypada, wedle obliczeń Japinga—karta myśliwska na 200 osób, co odpowiada $^1/_2$ procentowi ogólnej liczby ludności. Wedle dat, dostarczonych przez Justynina hr. Clary, prezydenta francuskiego klubu św. Huberta, dały w r. 1904-ym „Permis de chasse" 13,860,332 franków; wydano zaś 484,627 kart myśliwskich po cenie 28.60 franków. Z dochodów tych za karty myśliwskie wpłynęło 9,014,062 franków do skarbu państwa, a 4,846,207 franków dostało się gminom, w których „permis de chasse" wystawiono.

Wedle dat, udzielonych mi przez tego samego wiarygodnego sprawozdawcę — miano wydać we Francyi w r. 1906 nad 500,000 kart myśliwskich, co daje 1.3% zajmujących się polowaniem na ogólną liczbę mieszkańców 38,590,693 (wedle spisu ludności w r. 1901).

Taksa za kartę myśliwską wynosi w Prusiech 15, w Bawaryi 15, w Saksonii 12 marek, w Belgii 45 franków, w Anglii do 3 funtów szterlingów lub 75 franków.

W r. 1903 sprowadzono do Paryża ubitą zwierzynę wartości około 5 milionów franków, żywą — wartości około 250,000 fr.

Wedle hr. Clary, uiszczono w samym Paryżu za 2,284,165 sztuk zwierzyny, podatek konsumcyjny.

Umowy o dzierżawę polowań dają rocznie średnio 10 fr. za hektar. W tym samym roku wynosiła we Francyi liczba psów, do opodatkowania zgłoszonych, 3,334,565 sztuk.

W liczbie tej było 832,600 sztuk deklarowanych, jako psów do polowania, za które po 10 franków od sztuk trzeba uiścić podatek, co zatem dla fiskusa przynosi dochód 8,326,000 franków.

Za resztę psów, zgłoszonych w charakterze stróżów, wpłynęły do skarbu od sztuki 3 franki, zatem ogólny dochód w kwocie 7,505,895 franków. Nie ulega jednak wątpliwości, że między tymi psami znajduje się znaczny procent psów, używanych do łowów.

We Francyi przyjmuje się najmniej kwotę 60 franków na utrzymanie psa, służącego do polowania, co przy ogólnej liczbie tych psów 832,600 — odpowiada kwocie 49,956,000 fr. We Francyi znajduje się około 45,000 nadzorców polowań, a z zaprzysiężeniem każdego z nich łączy się taksa 15 franków. Wydatki, zajmującego się polowaniem we Francyi, na naboje, wyekwipowanie, suknie, trzewiki, broń i t. d., oceniają rocznie najmniej na 120 franków, co przy półmilionie myśliwych, równa się wydatkom w kwocie 60,000,000 fr.

(C. d. n.).

(„Łowiec").

Szliśmy krok za krokiem, brzegiem lasu, posuwając się zwolna, by najmniejszym hałasem zwierzyny nie spłoszyć. Słaby wiaterek był pomyślny i zwierz nie powinien był nas poczuć. Doszliśmy już dość blizko i zacząłem wytężać wrok, by dojrzeć upragnioną zdobycz. Ręce mi drżały, trząsłem się, jak w febrze, gdyż słyszałem go wyraźnie; nie dalej jak o trzydzieści kroków, najspokojniej chodził po owsie, szeleściał, jednem słowem zachowywał się tak, jakby zupełnie nie przeczuwał niebezpieczeństwa.

Staliśmy już tak dość długo; nareszcie niedźwiedź zaczął się zwolna posuwać w naszym kierunku, ciągle z największym apetytem zajadając. Wreszcie dojrzałem jakąś czarną masę, poruszającą się na ciemnem tle pola. W oka mgnieniu wziąłem ją na cel, mierząc w przednią część, i na chybił-trafił, strzeliłem. W tejże chwili rozległ się przeraźliwy kwik, i coś wściekle zaszamotało się w owsie.

— Ajaj, gwałtu! cóż to takiego? — wrzasnął Bartłomiej, chwytając mnie za rękaw.

Ja sam też zdębiałem; nigdy bowiem nie zdarzyło mi się słyszeć, żeby postrzelony niedźwiedź kwiczał.

Tymczasem ruchy i szamotanie się stawały się coraz słabsze, wreszcie wszystko ucichło.

— Trzeba pójść zobaczyć, co to jest — rzekłem.

— Aj, straszno! — odrzekł, trzęsąc się, Bartłomiej — może tam czort był.

Głupstwo — odpowiedziałem — czorty owsa nie jedzą. Idź za mną,—i trzymając strzelbę na pogotowiu, ruszyłem przodem, a Bartłomiej, choć drżący, szedł za mną, trzymając mię ciągle za rękaw. Wkrótce ujrzeliśmy jakąś ciemną masę, leżącą nieruchomo. Zapaliłem zapałkę i oczom naszym ukazała się prosta, domowa świnia, przeszyta na wylot moją kulą.

— Ajaj, gwałtu, rety! toż to moja świnia—wrzasnął Bartłomiej. — Nu, dostanęż ja teraz od żony! Zadaż mnie ona teraz pieprzu z solą. I jakimże sposobem ona tu wylazła; musi być dziura gdzie w chlewie.

Gdy teraz wspominam tę przygodę, to mi się śmiać chce; wówczas jednak było mi przykro, że stałem się powodem straty; choć zresztą starałem się ją w części wynagrodzić, obiecując mu przysłać jakieś rasowe prosię. Stary się nieco uspokoił, ale jednak z przerażeniem wspominał o burzy, której się od żony spodziewał.

— No, bo i kto mógł myśleć, że to ta parszywa świnia wylazła i w owsie chodzi, a ja *jak raz* myślałem, że to niedźwiedź!

Włodzimierz Korsak.

CHATY BOBRÓW.

Podróżnik, który włóczy się po lodowych pustyniach Syberyi i Kanady, zobaczy dziwne sceny, rozgrywające się w głębi lasów. Na skraju lasu na smutnym i błotnistym wybrzeżu rzeki, której wody bystry prąd unosi, — nagle spostrzega dziwny warsztat. Dokoła leżą drzewa pościnane, porąbane na sztuki, odarte z kory i pocięte na kije.

Zgadnijcie, kto dokonał tego mozolnego dzieła. Robotnik 30 centymetrów wysoki, a około 1 metra długi — słowem bóbr. Warto tych robotników zobaczyć przy pracy. Narzędzia, któremi się posługują, są bardzo proste. Do ścięcia drzewa, odarcia z kory i porąbania na sztuki — służą bobrowi tylko zęby. Najzręczniejszy cieśla piłą, czy nożem nie umiałby lepiej się posługiwać, niż bóbr swoimi, długimi czterema zębami przednimi. Zmyślne te zwierzęta, upatrzywszy w lesie potrzebne im drzewo, otaczają je i wsparłszy się na tylnych łapach, zaczynają je gryźć na wysokości 1 metra. Gdy drzewo już się chwiać zaczyna, szczególnego rodzaju ci drwale przechodzą na przeciwną stronę od tej, na którą ma runąć, i popychają je przedniemi łapami, aby przyśpieszyć upadek. Najczęściej padają w ten sposób młode wierzby, topole, jesiony lub brzozy. Nierzadko się zdarza — pisze pewien naturalista — że w ciągu jednej nocy para bobrów wywraca pięćdziesiąt drzewek.

W czasie wiercenia tych dziur przez bobry, słychać taki sam świst w lesie, jak gdyby pracowali piłami drwale. Drzewo powalone. Trzeba je pociąć na kawały i przetransportować jaknajprędzej w upatrzone miejsce nad rzeką.

Pewien Amerykanin opisuje, z jakim wysiłkiem bobry posuwają ścięte drzewo przy pomocy nóg i ogona (?).

Ze ściętych drzew budują bobry swoje szałasy. Wysokie 2—3 metrów, szerokie również tyle — szałasy te zbudowane są z gałęzi i wapna rozrobionego. Domki te stawiają blizko jeden drugiego, tworząc malowniczy widok wioski. Wewnątrz znajduje się izba sklepiona z dobrze ułożoną podłogą, ściany ulepione z ziemi są nadzwyczaj starannie wygładzone i ta część domku przeznaczona jest na mieszkanie. Z boku urządzony magazyn żywności!

Chata jest zimowem mieszkaniem bobra. Tutaj też wychowuje on swoją rodzinę.

Właściwem jego siedliskiem zazwyczaj bywa staw lub woda najbliższa i las, dokoła szumiący. Nie zapominajmy bowiem, że woda jest najpierwszą potrzebą bobra. Ssak ten ziemny posiada organizm sposobny do pływania i przebywania w wodzie. Mieszkanie bobra jest zawsze zbudowane w pobliżu wody i z nią połączone przejściem podziemnem, tajemniczym kurytarzykiem, który biegnie na 1 m. 20 mm. pod powierzchnią rzeki. Umieszczając tak nisko wejście do swego mieszkania, bóbr działa niesłychanym sprytem. Choćby bowiem najostrzejsza była zima, on jest pewien, że wejście do jego mieszkania nie zamarznie, że zupełnie swobodnie będzie mógł przechodzić ze swego szałasu na bieżącą wodę, choć jej powierzchnia pokryta jest lodem.

Tajemnicze to wejście do właściwej siedziby musi być zawsze dostępne, dlatego zmyślny bóbr stara się, aby poziom wody w stawie był zawsze niezmieniony.

W celu utrzymania wody na mniej więcej jednakim poziomie, trzeba koniecznie urządzić stałą zaporę, zaopatrzoną w stosowne upusty!

Jest to najważniejsze zadanie mechaniczne, które w takim razie ma do rozwiązania każdy inżynier. A skoro zna się trudności najrozmaitsze podobnej pracy, skoro się pamięta, jak dokładnego rachunku wymaga ustosunkowanie siły oporu tamy do ustawicznie zmieniającego się naporu bijącej fali wodnej, to niepodobna nie wyrazić zdziwienia, że zapora, zbudowana przez bobry, odpowiada w zupełności tym wymaganiom, a przedewszystkiem, że zaraz z początku nie została obalona. Istotnie, tamy, budowane przez bobry, wytrzymują nieraz bardzo gwałtowny napór fali. Potrzeba trzymania zawsze otworem tego tajemniczego wejścia do mieszkania skłania zmyślnego bobra do utrzymania tam, mimo że ciągną się na dużych przestrzeniach, nieraz sięgających 100—150 metrów.

Zobaczmy, jak się buduje wspomniana tama.

Bóbr zaczyna robotę od ustawienia w poprzek rzeki, czy stawu, który chce barykadować, palików, które silnie umacnia na dnie rzeki. Paliki te, wbijane blizko jeden drugiego, zapewniają stałość robocie. Między nimi bóbr układa giętkie gałązki, następnie rzuca, w celu spojenia tych części, na wszystko ziemię rozrobioną i kamienie, które przytransportował, popychając je piersią i przedniemi łapami, a idąc wsparty na tylnych łapach.

Jak to wszystko drobiazgowo obmyślone! Tama, mająca u podstawy 3—4 metry grubości, co raz jest cieńszą, w miarę, jak biegnie w górę, tak, że wierzch nie bywa grubszy ponad 60 cm.

Dwie przeciwległe ściany nigdy nie biegną równolegle. Ściana, zwrócona w dół rzeki, jest prosta, ściana zaś, skierowana pod wodę, a więc wystawiona najbardziej na działanie bieżącego prądu, jest ustawiona rozmaicie, a zawsze mądrze, w ten sposób, aby mogła oprzeć się naporowi. Jeżeli prąd nie jest zbyt gwałtowny, w takim razie zapora skrzywia się, przeciwstawiając w ten sposób naporowi wody odpowiednią wypukłość, czyli maksimum oporu.

W pewnych wypadkach, przytoczonych przez Morgana, któremu zawdzięczamy w tym przedmiocie nadzwyczaj ciekawe spostrzeżenia, bobry niejednokrotnie nie cofają się przed zbudowaniem w pobliżu drugiej tamy, jeżeli pierwsza wymaga jeszcze wzmocnienia.

W ten sposób między dwiema tamami tworzy się niegłęboki rów, który mniej więcej zrównoważy siłę naporu.

Nie dość na tem. Nie wystarcza bowiem ustalenie stosunku siły oporu tamy do zwykłej siły naporu prądu. Należy przewidzieć zwiększenie się siły prądu, jak np. na wypadek powodzi.

(Dok. nast.).

Z praktyki hodowlanej.

1. Słówko o pierzeniu się ptactwa

Pierzenie się ptactwa nie jest stanem chorobliwym, ale naturalnym procesem fizyologicznym, podczas którego ustrojowi ptaka należy dostarczyć w dostatecznej, jako też i w odpowiedniej ilości, w postaci szybko i łatwo strawnej karmy, potrzebnej do wytworzenia nowego pierza. Dlatego w okresie pierzenia się powinno być karmienie bardzo staranne i odpowiednie.

Szczególniejszą należy zwrócić tu uwagę na gatunki rasowe, pochodzące z chowu w pokrewieństwie, którego często nie można uniknąć; pisklęta bowiem z takich pni porastają pierzem zbyt późno i powoli, wskutek czego nieraz nie przetrzymują okresu pierzenia. Także sztuki zbyt tłuste niedomagają bardzo w tym czasie, podściółka tłuszczowa bo-

wiem utrudnia nadzwyczajnie wyrastanie nowych piór, skutkiem czego wytwarzają się często ciężkie zaburzenia w całym organizmie ptaka. Zwłaszcza u gatunków, które są bardzo wrażliwe na zmiany temperatury, a przytem bardzo się wypierzają, należy uważać ten okres, jako wysoce krytyczny. Natomiast gołębie, wypierzające się powolnie, nie okazują żadnych zboczeń w czasie tego okresu. Zastój w pierzeniu się ptactwa wywołuje prawie zawsze długotrwałe choroby. Ptaki normalnie rozwinięte i dobrze odżywiane, które w pierwszej młodości żywiono dobrą karmą, przetrzymują zawsze zmianę piór szybko i łatwo; przeciwnie zaś ptak źle żywiony, i niestarannie utrzymywany, bardzo odczuwa ten proces. Pożywienie powinno być dobre, obfite, posilne i różnorodne.

Należy zatem wiedzieć, jakich składników potrzebuje organizm do wytwarzania nowego upierzenia, i tylko te podawać ptactwu w czasie pierzenia, które wtedy prawidłowo przebiega. Przedewszystkiem karm ma zawierać obficie potrzebne sole odżywcze, a nadto znaczny procent białka (azotu). Czyniono w tym kierunku wiele prób i doświadczeń i udało się stwierdzić, że najlepsze wyniki otrzymuje się przy używaniu karmy z włókien mięsnych. Najlepiej podawać ją przed południem, wieczorem zaś ziarno. Gorszych resztek kuchennych i innych odpadków nie należy podawać w czasie pierzenia się. Kąpiele piaskowe i popiołowe są w tym czasie bardzo potrzebne. Niektórzy hodowcy zalecają też, ażeby dodawać do wody do picia po kilka kropli kwasu siarkowego. W czasie pierzenia się należy chronić troskliwie rasy szlachetne przed przeciągami, nagłemi zmianami temperatury i wilgocią; woliery powinny być suche i czyste.

2. Wysiadywanie jaj bażancich przez indyczki.

Indyczki można zmusić do wylęgania jaj przed upływem czasu, w którym przestają się nieść, a nawet przed rozpoczęciem znoszenia jaj. W czasie, w którym sztuczne wylęganie nie było jeszcze rozpowszechnione, używano tych ptaków na wielką skalę do wylęgania podczas zimy.

W izbie zaciemnianej umieszcza się skrzynię długą na 4,50 m., podzieloną na sześć podziałów po 75 cm.² powierzchni, a 60 cm. wysokości. Dno każdego przedziału wyściela się twardą słomą, następnie z siana, mchu lub sieczki robi się gniazdo, do którego wkłada się jaja próbne (porcelanowe lub zwykłe niezapłodnione, a nawet kamienie, mające kształt jaj). Po takiem przygotowaniu gniazd umieszcza się w każdym przedziale indyczkę w ten sposób, aby grzbiet każdej z sztuk wysiadujących był w równej wysokości z górnym brzegiem podziałów. Warunek ten jest bardzo ważnym; chcąc zniewolić indyczki do siedzenia na jajach, kładzie się na skrzyni wzdłuż całej długości deskę szeroką na 20 cm., w ten sposób, aby się ona opierała na grzbietach indyczek. A że może się zdarzyć, iż jedna z indyczek będzie mniejszą od innych, wówczas należy jej wyżej wysłać gniazdo, a to w tym celu, aby deska dotykała jej grzbietu, co zmusza ją do siedzenia. Głowa i ogon wystają po za ściany skrzyni. W takiej pozycyi pozostawia się indyczki przez 24 godzin, poczem się je uwalnia na 10 minut, ażeby się mogły pożywić; podczas tego, gniazda zanieczyszczone oczyszcza się. Następnego dnia o tej samej porze uwalnia się ptaki na nowo na 10 minut i tak postępujemy 5—6 dni, dopóki się nie stwierdzi po podniesieniu indyczki, że jaja próbne są bardzo gorące, wówczas bowiem indyczka jest już przygotowaną do prawidłowego wysiadywania.

Sposób ten, obmyślony przez p. Bréchemin, jest we Francyi bardzo rozpowszechniony. Jeżeli się chce zmusić tylko jedną indyczkę do wylęgania, wystarczy do tego tylko jedna skrzynka o 75 cm.² powierzchni i 60 cm. wysokości. Można również użyć w tym celu koszyka, jednakowoż trzeba zawsze używać deski lub innej przykrywy, celem zniewolenia indyczki do siedzenia na jajach. W ten sposób można prawie w każdej porze roku zmusić indyczkę do wylęgania jaj; zdarzają się jednak sztuki od innych krnąbrniejsze, które trzeba dłużej przyzwyczajać. W ogólności metoda ta daje dobre wyniki. Wybierać jednak należy indyczki łagodnego usposobienia i najbardziej oswojone, gdyż sztuki dzikie dają się tylko z wielką trudnością zmusić do wysiadywania. Indyczka dobrze ułożona, może bez przerwy wywodzić trzy do czterech razy.

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do krainy Massai.

Przez
Edwarda Trojanowskiego.

(Ciąg dalszy).

W nocy, mimo szalonego zmęczenia, budziłem się ciągle, z powodu przejmującego chłodu. Kołdry, które z sobą zabrałem, okazały się niewystarczającemi, i szczękając zębami, z upragnieniem oczekiwałem słońca. Nad ranem otoczył nas tuman tak gęsty, że ubranie i wszystkie rzeczy były jak gdyby z wody wyjęte. Postanowiliśmy też co rychlej opuścić szczyt Donjo Sabuka i przenieść się do wczorajszego mego obozu. Na szczęście towarzysz mój czuł się prawie że dobrze, i usadowiwszy się w naprędce z kawałków płótna i z drążków zbudowanego falankinu, wyruszyliśmy z powrotem ku dołowi. Ludzie raźno i wesoło postępując, cieszą się, że opuszczają ten zimny i wilgotny szczyt, na którym zmarźli niemiłosiernie.

Około południa stanęliśmy u celu naszej podróży, t. j. w miejscu, w którem poprzednio obozowałem. Pan L. szczerze ucieszył się, widząc barona B., powracającego i znacznie zdrowszego. Propozycya wspólnego śniadania została jednogłośnie i bez namysłu uchwalona, a pieczona wątróbka z Busch-boka i legomina z ryżu, zakropiona obficie Whisky i winem (dzięki Ci, panie Majerze z Mombassa), były znakomite.

Nie mając jednakże zamiaru tracić drogocennego czasu, postanowiłem skorzystać z kilku pozostałych godzin dnia i zapolować, tem więcej, że, schodząc z góry, zdala na stepie zauważyłem stadko strusi, z siedmiu sztuk złożone. Około 3-ej z jednym swym strzelcem wyszedłem i niebawem, wdrapawszy się na mrowisko termitów, przez lornetkę odnalazłem o kilka wiorst w kierunku rzeki, spokojnie pasące się strusie. Iść wprost na nie nie było możebnem, z powodu wiatru od nas wiejącego, trzeba więc było zatoczyć ogromne, parowiorstowe koło, by dostać się pod wiatr.

Śpiesznie też ruszyliśmy w drogę i nie zwracając uwagi na stada antylop, przeważnie Kongoni („Harte beest"), pasących się w odległości paruset kroków, postępowaliśmy przez trawy, stosunkowo niewysokie.

Nie uszliśmy zapewne więcej, jak dwie wiorsty, gdy wtem, idący przedemną Massai, zatrzymał się nagle, i przykucnąwszy, wskazał mi ruchem ręki w prawo. Zrazu przekonany byłem, iż jesteśmy już w pobliżu strusi, gdy wtem ogromne, szare cielsko, poruszając się leniwie o jakieś sto kroków od nas, wyłoniło się z trawy i olbrzymi nosorożec, podnosząc głowę do góry, w moją zwrócił się stronę.

Zapadliśmy w trawę, na szczęście dość wysoką w tem miejscu, i dzięki przychylnemu wiatrowi, nie zostaliśmy zauważeni.

Nosorożec, nie przeczuwając nic złego, stanął spokojnie, poruszając tylko od czasu do czasu głową, my zaś, cofając się ostrożnie, skryliśmy się za wzgórek. Tu zmieniłem naboje, zakładając stalowe kule, które jedynie zdolne są przebić grubą skórę i kości tego potężnego zwierza, co szczęśliwie uskuteczniwszy, wróciłem na pierwotne swe miejsce; lecz widząc w kierunku nosorożca mały krzak kolczastej akacyi, postanowiłem do niego się dostać, zmniejszając sobie tem samem odległość na 20 — 30 metrów. I ten manewr udał mi się znakomicie, nie czekając też dłużej, posłałem pierwszą swą kulę, mierząc na łopatki.

Po strzale zwierz rzucił się i począł, wydając przeraźliwe sapanie, szukać nieprzyjaciela, który mu tak niemile przerwał chwile spokoju. Zmieniłem nabój i drugi strzał padł, następnie trzeci, po którym, widocznie ciężko ranny, nosorożec dość szybko począł biedz w bok odemnie, zataczając koło.

Postrzały jednakże okazały się tak ciężkimi, że zwierz, coraz więcej się chwiejąc, przystanął wkrótce.

Wtedy, nie namyślając się więcej, podniosłem się z ukrycia, i przecinając mu drogę, zbliżyłem się na 50 kroków. Strzał, dany w głowę, zwalił olbrzymie cielsko,—strumienie krwi popłynęły z nozdrzy.

Ze względu na nadchodzący wieczór, trzeba już było zaniechać polowania na strusie i zdążać z powrotem do obozu, zostawiając na jutro sprowadzenie mięsa i skóry.

Dwóch swoich ludzi, których spotkałem po drodze, a którzy biegli na odgłos strzałów, postawiłem na straży, ażeby hyeny lub szakale nie napoczęły podczas nocy mego łupu.

Na wpół drogi zdążyłem jeszcze zastrzelić pomykającego na 120 kroków, srebrnego szakala.

Z tryumfującą miną wszedłem do obozu, z radością oznajmiając swą przygodę z nosorożcem, która tak pomyślnie się skończyła.

Dla upamiętnienia tego ważnego wypadku, po kilkakroć podczas kolacyi, mój Hamis musiał zaglądać do skrzynek, kryjących w swem wnętrzu butelki, zwykle w Europie w lodzie podawane.

Lecz w Afryce i ciepłe smakują, szczególniej, gdy się zabiło pierwszego w życiu nosorożca.

Baron B. opowiadał nam bardzo ciekawe przygody ze swego polowania, i zdaniem tego wytrawnego myśliwego, nosorożec uchodzi za równie niebezpiecznego, jak lew, bawół lub słoń afrykański.

22 lutego. Wczesnym rankiem, w towarzystwie barona B. udaliśmy się na miejsce wczorajszej rozprawy z nosorożcem. Kilkunastu ludzi, których z sobą zabrałem, miało poodcinać głowę i nogi, oraz duży kawał skóry i wraz z najlepszymi kąskami mięsa przenieść do obozu. Zrobiliśmy także zdjęcie fotograficzne, oraz pomiar rogów, które wynosiły: frontowy niespełna 20 cali; drugi zaś—8 c.

Jeden z ludzi, którzy spędzili noc przy nosorożcu, wskazał nam w oddali siedm sztuk strusi, pasących się na stepie.

Nie tracąc czasu, udaliśmy się w kierunku ptaków, które, dzięki przychylnemu wiatrowi, najmniejszej na nas nie zwracały uwagi. Doszedłszy na 200 metrów, strzeliłem, mierząc do największej sztuki o czarnych, lśniących piórach.

Zadziwiający był efekt strzału, po którym struś padł, jak piorunem rażony. Reszta ich, pomagając sobie skrzydłami, uciekła, nie strzelaliśmy jednakże do innych, ponieważ były to samice z jednym młodym kogutem. Gdym doszedł do martwego już zupełnie strusia, jakież było moje zdziwienie, gdy ślad kuli zauważyłem na szyi, o kilka centymetrów pod obsadą głowy. Nieźle więc zgórowałem, jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że szyja strusia mierzy dobre 2—3 łokcie. Był to prawdziwy „pechvogel“, jak słusznie zauważył mój towarzysz.

Ponieważ słońce dobiegało już do zenitu,—zostawiając opiekę nad strusiem kilku swoim ludziom, którzy, po wypatroszeniu, mieli go w całości przenieść do obozu, udaliśmy się w kierunku rzeki, odległej o niespełna pół wiorsty, z zamiarem spędzenia tam najgorętszej pory dnia.

Dochodząc do wody, po drugiej stronie łożyska w odległości 75 — 100 metrów, spostrzegłem ogromnego krokodyla, śpiącego na piasku. Nie tracąc czasu, posyłam mu kulę z mego 7" Mausera. Po strzale przez chwilę krokodyl pozostał bez ruchu, jak martwy, następnie otworzył paszczę, jak gdyby ziewał, potem zaczął się rzucać gwałtownie, i dopadłszy wody, zginął w niej bez śladu. Ja zaś, zamiast strzelać, korzystając z chwil, kiedy krokodyl był jeszcze na brzegu, przyglądałem mu się z takiem zaciekawieniem, żem zapomniał o świecie Bożym.

Wypocząwszy porządnie nad brzegiem rzeki, w cieniu olbrzymich drzew i pnących powoi o różnokolorowem kwieciu, wczesnym wieczorem powróciliśmy pod stok Donjo-Sabuku, z zamiarem przeniesienia jutro naszego obozu na pobrzeże Athy-River.

Baron B., nie mając nic lepszego do roboty, z zachwytem przyjmuje propozycyę towarzyszenia mi w wyprawie, do zdrowia powraca z zadziwiającą szybkością, tak, że dziś już ogromny kawał drogi zrobiliśmy piechotą.

(C. d. n.).

Strzelanie do gołębi.

Wstęp.

Sport strzelania do gołębi jest bardzo rozwinięty na zachodzie Europy; gdy jednak niektóre kraje, jak np. Anglia, Francya, Belgia, Włochy, Hiszpania i Portugalia uprawiają przeważnie strzelanie do gołębi żywych, sąsiednie nam Niemcy, czy to przez oszczędność, czy przez źle zrozumiany sentymentalizm, wyłącznie prawie praktykują strzelanie do t. zw. gołębi sztucznych, t. j. do krążków asfaltowych, wyrzucanych w powietrze odpowiednią maszyną. W Rosyi strzelanie do żywych gołębi jest bardzo rozwinięte w niektórych wielkich miastach, jak np. w Moskwie, Petersburgu i innych.

Co się tycze kraju naszego, to istniał przed kilkunastu laty t. zw. „stand“ na polu Mokotowskiem, urządzony przez Warszawskie Towarzystwo prawidłowego myślistwa. Owa meta była urządzona dość pierwotnie, klatki otwierały się przy pomocy zewnętrznych sznurów, a licho sklecona budka stanowiła jedyne przykrycie dla strzelających na wypadek niepogody. Towarzystwo, pragnąc zaprowadzić różne ulepszenia, wypisało z zagranicy kosztowną maszyneryę do puszczania gołębi. W tym wszelako czasie Towarzystwo wyścigowe, na którego placu mieściła się meta, a które wybudowało obok toru stajnie wyścigowe, wymówiło gościnę amatorom strzelania do gołębi, z tego powodu, że konie wyścigowe płoszą się w boksach od strzałów, co mogłoby sprowadzić niepożądane szkody dla hodowców. Rade nie rade, Towarzystwo prawidłowego myślistwa musiało zajmowany teren opuścić, kosztowne maszyny zapakowano na strychu, a następnie odprzedano je do Spały, i na tem skończyła się działalność Towarzystwa w kierunku rozwinięcia nowego u nas sportu.

Wówczas powstały dwa prywatne „standy“, a mianowicie jeden w Otwocku, założony przez

Otwockie Kółko myśliwskie imienia św. Huberta, a drugi w Brwinowie, ufundowany przez p. Stanisława Lilpopa. W obu tych miejscowościach dość liczni amatorowie strzelania do gołębi, strzelali od czasu do czasu, walcząc o żetony, jako o nagrody, lub rozgrywając między sobą pule o stawki pieniężne. Po paroletniem istnieniu oba te „standy" zostały zarzucone i od tego czasu nikt już nie myślał o uprawianiu tego, bądź co bądź przyjemnego, a dla myśliwych bardzo użytecznego sportu.

W ostatnich czasach myśl wznowienia krótkotrwałych tradycyj istnienia „standu" w Warszawie, zaczęła kiełkować w łonie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, ciężkie jednak wstrząśnienie, jakie kraj nasz przechodził i jeszcze do pewnego stopnia przechodzi, od lat trzech, stawały temu na przeszkodzie. Niemniej jednak Spółka Myśliwska projektu swego nie zaniechała i jest nadzieja, że w niedalekiej przyszłości zwolennicy sportu gołębiego będą mogli z całą swobodą oddawać się ulubionej rozrywce.

Gdyby mnie się kto zapytał, czy strzelanie do gołębi przynosi jaki pożytek, odpowiedziałbym bez wahania, że przynosi, i to nie mały. Kto strzelał do gołębi, ten mógł się przekonać, że niezbędnem jest strzelanie szybkie, rzutowe, gdyż inaczej gołąb, ulatujący od strzelca, oddali się na taką metę, że albo spadnie po za metę, albo zostanie spudłowany. Jest to więc bez kwestyi doskonała szkoła, przyzwyczajająca strzelającego do strzałów szybkich, które w ścisłem pojęciu tej materyi są jedynie dobre. Z drugiej znów strony strzelanie do gołębi odbywa się zwykle w sezonie martwym, jest więc dla myśliwych miłem zastąpieniem tak ulubionego polowania, a jako praktykowane na świeżem powietrzu, stanowi sport zdrowy i dla ciała użyteczny.

Istnieje wszelako wśród naszej publiczności grupa ludzi, i to bardzo liczna, a reprezentowana przeważnie przez kobiety, która stanowczo potępia sport strzelania do gołębi, nazywając go barbarzyńskiem mordowaniem niewinnych istot. Jest to, według mnie, sentymentalizm, niemający żadnych podstaw bytu. Bo, spytam się, dlaczego miałby gołąb posiadać jakieś specyalne przywileje, których nie ma ani zając, ani kuropatwa, ani dziki gołąb, ani wszelka inna zwierzyna? A z drugiej strony zapytam, czy temu gołębiowi w zasadzie nie jest wszystko jedno, czy go zabije strzelec ze strzelby, czy mu kucharz lub kucharka łeb ukręci? Sądzę, że niejedna z tych humanitarnie usposobionych niewiast, z apetytem zajada pieczonego gołębia, nie myśląc wtedy, że to niewinne stworzenie śmierć poniosło dla zadowolenia jej apetytu. Wszak kura domowa, która pod względem rozwoju czułości nerwowej nie stoi bynajmniej niżej od gołębia, codzień nadstawia gardła pod nóż kuchenny, aby żarłoczności ludzkiej stało się zadość. To samo da się powiedzieć o wołach, baranach, wieprzkach, które nawet wyżej stoją pod względem rozwoju intelektualnego, aniżeli gołąb lub kura. Dajmy więc pokój tym czułostkowym tyradom, bo one są wysoce niesprawiedliwe i jednostronne.

Jan Sztolcman.

I. Cel i pożytek strzelania konkursowego.

Istnieje jeszcze obecnie pewna liczba myśliwych, którzy uważają wszelkie strzelanie konkursowe za zupełnie zbyteczne. Panowie ci sądzą ciągle, że się urządza konkursy strzeleckie jedynie dlatego, żeby kogoś albo coś zareklamować, oraz żeby dać kilku strzelcom sposobność do wyróżnienia się swą sztuką strzelecką.

Kto tak bałamutnie sądzi o strzelaniu konkursowem, ten niewątpliwie mało jeszcze w niem uczestniczył. Zapewne był tam raz jeden, nic nie zdziałał, a teraz urąga, jak lis z bajki, że „winogrona są kwaśne". Spisawszy się istotnie, choć niewiele, w strzelaniu, ma się zawsze chęć okazywania swej umiejętności; jedynie przy kieliszku łatwo się narzeka i krytykuje.

Konkursy strzeleckie urządać się powinno przedewszystkiem dlatego, żeby umożliwić rozwój sztuki strzelania i zachęcać świat myśliwski do poświęcenia więcej uwagi technice strzelania, niż to się obecnie dzieje.

Kto chce wziąć udział w konkursie strzeleckim i mieć wyniki skuteczne, musi się najprzód pilnie ćwiczyć, a jeżeli i wtedy z jakiegokolwiek powodu nie osiągnie skutku, to ćwiczenie nie pozostało jednak bezcelowem; przyda się ono myśliwemu na polowaniu. Szczególnie strzelanie do gołębi glinianych jest wybornem ćwiczeniem wstępnem do polowania na zwierzynę skrzydlatą. Przy strzelaniu konkursowem nieuniknione jest pewne naprężenie nerwów, lecz zdarza się o o także na polowaniu; strzelec uczy się tedy panowania nad nerwami, gdyż bez tego nie osiągnie nigdy wielkich rezultatów.

Następnie widzi on przy strzelaniu konkursowem znaczną liczbę wybornej broni i może jednocześnie oceniać ich wartość strzelniczą. Również sprawa „prochu bezdymnego" zostaje często przy strzelaniu konkursowem zdumiewająco szybko rozwiązaną. Dotychczas wielu się waha, któremu prochowi bezdymnemu ma oddać pierwszeństwo dla celów myśliwskich; na konkursach strzeleckich zaś uczy się łatwo odróżnić plewy od ziarna. Już niejeden t. zw. proch reklamowy został tam na zawsze pogrzebany.

Nie ulega też wątpliwości, że przy takiem strzelaniu można się nauczyć wiele od pierwszorzędnych strzelców, biorących udział w konkursach, — na punkcie składania się, szybkiego strzelania i doskonałej postawy. Przypatrując się, jak należy strzelać, człowiek przejmuje się tą dobrą sprawnością i ją naśladuje.

Wreszcie konkursy strzeleckie przyczyniają się także do rozwoju prawidłowego myślistwa i solidarności korporacyjnej śród myśliwych. Podczas wymiany zdań słyszy się nieraz opinię, zastanawiającą swą oryginalnością; dobre wskazówki bywają też pożyteczne, a zawieranie nowych znajomości i odnowienie dawnych przedstawia także pewną korzyść pod względem myśliwskim.

Należy przeto najprzód wypróbować, zanim się wydaje sąd ujemny o strzelaniu konkursowem. Naturalnie, że zawsze tylko jeden strzelec zdobywa pierwszą nagrodę, lecz niepowodzenie powinno właśnie być dla strzelca bodźcem do lepszej sprawności za następnym razem i do pilnego wprawiania się w sztukę strzelecką. Kto się zaraz zniechęca przy pierwszem niepowodzeniu, ten niechaj się nie zabiera wcale do myślistwa. Jedynie wytrwałość prowadzi do celu, zarówno na polowaniu, jak przy strzelaniu konkursowem.

Nie należy przeto zaniedbywać żadnej sposobności, umożliwiającej branie udziału w konkursach strzeleckich. Wtedy rychło się przekonamy, jak wielce one bywają użytecznymi.

WIZYER LUSTRZANY.

Wiemy, że między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia wzrok nasz zmienia się w ten sposób, że choć wrażenie dalekich przedmiotów jest bardzo mało, lub wcale nie osłabione, zato przed-

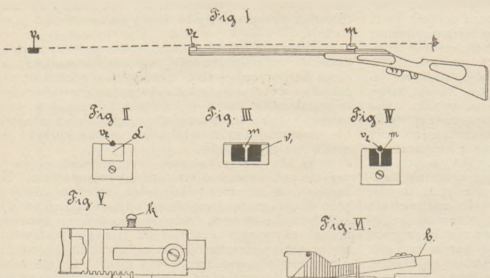
mioty blizkie stają się dla nas niejasnymi i przy czytaniu lub pisaniu jesteśmy zmuszeni papier lub książkę trzymać zdala od oczu. Od tego nie są wolne i najlepiej, najdalej widzące oczy, a nawet one wcześniej od innych słabną; jedynie krótkowidze tego nie odczuwają; gdy chodzi o czytanie, wystarczy użycie odpowiednich szkieł, ale przez takie szkła widzimy dobrze przedmioty blizkie tylko, dalsze zaś gorzej, jakby przez mgłę.

Takie osłabienie wzroku - wzrok starczy — nie jest właściwie chorobą, ale stałym objawem starczym *(presbyopia)*, wywołanym zmniejszeniem zdolności oka do przystosowania się do odległości *(akomodacya)*.

Przy strzelaniu precyzyjnem, sztucerowem, to osłabienie wzroku ogromnie przeszkadza i czyni je nieraz wprost niemożliwem. Celując, musimy jednocześnie widzieć bardzo dokładnie trzy punkty, położone na jednej linii prostej, w różnej od oka odległości.

Najbliższy punkt, wizyer sztucera, znajduje się mniej więcej o 25 — 30 cm. od oka, przy początku lufy; punkt drugi—muszka, o 60—70 cm. dalej, wreszcie cel stanowi punkt trzeci. Muszka jest dość oddalona od oka, by mogło ją widzieć dokładnie oko nawet starego człowieka, również — cel, naturalnie, o ile oko jest zdrowe i prawidłowe, ale wizyer jest za blizko, czterdziesto-pięcio letni strzelec widzi go niewyraźnie. Szkła dałyby mu możność dobrego widzenia wizyera, ale pożytek z tego żaden, bo muszka, a tem więcej cel, byłyby wówczas niewyraźne.

Dr. Schanz, lekarz drezdeński, stara się temu zapobiedz przez bardzo dowcipną a prostą konstrukcyę, której zasada polega na odsunięciu od oka punktu najbliższego, a więc wizyera. Mamy na to łatwy sposób — zastosowanie zwierciadła. Jeżeli w miejscu muszki ustawimy lusterko tak, by wizyer w niem się odbijał, będziemy mogli zużytkować to odbicie do celowania, albowiem na mocy prawa fizycznego odbicie (obraz urojny) danego przedmiotu w źwierciadle znajduje się tak daleko za niem, jak daleko przed niem sam przedmiot jest położony. W ten sposób punktem najbliższym przy celowaniu będzie muszka, a ją oko widzi wyraźnie, bez użycia swej akomodacyi.



W miejscu muszki jest na lufie umieszczone lusterko *L* w stalowej oprawie, mającej na swej górnej części przydatek metalowy v_2, u góry śpiczasty, u dołu zaokrąglony (fig. II). Zamiast wizyera, na czarnej tabliczce v_1, po jej stronie, zwróconej ku lusterku, znajduje się znak biały *m*, mający kształt połowy tarczy z wyrostkiem ku dołowi (fig. III). Przy takiem urządzeniu strzelec, patrząc w lusterko *L*, widzi w niem odbicie znaku *m*, które wydaje się leżeć po za lusterkiem w odległości v_1 v_2, równej v_2 *m* (fig. I). Strzelec musi sobie wyobrazić, że na przedłużeniu lufy ma taką białą muszkę *m* i przy jej pomocy celuje. Bliższym punktem będzie ów przydatek na lusterko. Celując, stara się tak ustawić oba punkty, by v_2 pokrywało tarczę białą w znaku *m*, pozostawiając widoczną u dołu, wąziutką tylko obwódkę (fig. IV). Połączywszy w ten sposób na jednej linii prostej v_2 i *m*, wierzchołkiem ostrym przydatku lusterka pokrywa cel.

Wizyer daje się ustawiać na odległość przez przesuwanie tabliczki ze znakiem *m* wyżej lub niżej (fig. V i VI).

Chcąc broń samemu regulować, nie należy zmieniać położenia lustra; musi ono być ustawione w fabryce. Poprawiać można tylko znak *m*, przytem trzeba pamiętać, że się nastawia swoją *muszkę*. Jeżeli broń bije nadto na prawo, przesuwa się znak *m* również na prawo, i na odwrót. Gdy broń dołuje, trzeba *m* opuścić, gdy góruje—podnieść.

Schanz opatentował swój wynalazek we wszystkich państwach.

B. R. G.

Gawędy starego myśliwego.

XII.

(Dokończenie).

Kilka dni odwilży, przeplatanej deszczem, zepsuło nam dalszy szereg zamierzanych polowań; wśród tej odwilży śniegi przeważnie zginęły, musieliśmy więc w ciągu tego czasu poprzestać na możebnych wycieczkach w blizkości domu, przeważnie na zające i lisy, chociaż wśród zarośli i jezior nad Dnieprem, nad którym główna siedziba dóbr Łojew jest położona, można było spotkać się i z grubą zwierzyną, nie wyłączając nawet i łosia. A że brat mój utrzymywał stale sporą gromadę doskonałych ogarów, prowadzonych i kierowanych przez umiejętnych i dzielnych dojeżdżaczów, jakich tylko na Litwie znaleźć jeszcze można, więc polowanie mogło być zorganizowane w każdej chwili i każdą chwilę lepszego stanu pogody dawało się zużytkować. Korzystaliśmy z okoliczności tej sumiennie, i chociaż kilka razy uciekaliśmy do domu przeziębnięci i zmoczeni, jak to mówią, do nitki i szpiku kości, to jednakże po ogrzaniu tych kości i osuszeniu lub zmianie odzieży biegło się tam z powrotem, gdzie wzywał nas ów cudny dla ucha myśliwego głos gończych i myśliwskiej trąbki.

Głosu tego nie zna już u nas młodsze pokolenie teraźniejszych myśliwych, bo z ubytkiem większych obszarów leśnych i z rozluźnieniem się dawnych, serdecznych stosunków sąsiedzkich, polowanie z ogarami stało się niemożebne. A jednakże, wierzcie mi, młodzi towarzysze, że wraz z ogarami zaginął i prawdziwy urok ówczesnego polowania, że praktykowane obecnie i wyłącznie polowanie z nagonką, to dla starego myśliwego jakiś tylko popis mniej lub więcej zręcznego strzelania do celu, a pozbawionego tych wszystkich rozkosznych wrażeń, które nie dają się opisać, ale i nie opuszczają myśliwego ani na chwilę, aż do ostatecznego rezultatu spotkania się ze zwierzem.

Kto z dawnych myśliwych przyzwyczaił się słyszeć owe różno-głośne naszczekiwania psów gończych, zlewające się w jedną, harmonijną całość, przeplataną kiedy niekiedy dźwiękiem trąbki, echem strzału i pozwalające nawet poznać rodzaj tropionego zwierza; komu wśród tej nieustającej harmonii silniej lub słabiej, ale stale biło serce, w miarę zbliżających lub oddalających się głosów gończych, a więc i nadziei spotkania się z pożądaną zdobyczą; kto, powiadam, brał jeszcze udział w łowach na podobieństwo owych, dawniej praktykowanych wypraw łowieckich, których dzieje i przygody opowiadano nam w młodości, ten z trudnością godzić się może ze sposobami łowów, praktykowanych obecnie, i mimowolnie sięga pamięcią w lepszą dla myślistwa przeszłość.

Zrzędzą starzy myśliwi, jak utrzymują myśliwi młodzi, ale nie wątpię ani na chwilę, że to zrzędzenie ich zmieniłoby się natychmiast, gdyby dane im było usłyszeć głos psów gończych i towarzyszący mu dźwięk trąbki myśliwskiej.

Na jednem z tych, wyżej wspomnianych polowań zająłem stanowisko na jakimś wązkim, bo zaledwie trzydziesto-krokowym szerokości pasie ziemi, położonym pomiędzy Dnieprem a większem jeziorem, które, z powodu odwilży, pokryte było lodem bardzo słabym. Przez środek i wzdłuż tego poza nami ciągnął się kilkołokciowej wysokości pagórek, który rozdzielał tę przestrzeń na dwie połowy i nie pozwalał np. z brzegu rzeki widzieć brzeg jeziora. A że pagórek ten nie był w dodatku porośnięty krzakami i strzelcowi nie dawał możności ukrycia się przed zwierzem, więc trzeba było z dwóch tych wyżyn wybrać jedną.

Stanąłem nad brzegiem jeziora.

Puszczono ogary, zagrały trąbki i wkrótce zabiłem lisa.

Strzały zaczęły się odzywać coraz częściej i po niejakim czasie z silnego i ciągłego szczekania gończych sądzić było można, że gonią grubszego jakiegoś zwierza. Pogoń ta zbliżać się zaczęła ku mnie i po pewnym czasie gorączkowego oczekiwania, spostrzegłem trzy wilki w odległości jakichś stu kroków. Zwietrzyły mnie prawdopodobnie, zatrzymały się przez chwilę i widocznie spostrzegły stojącego wśród niewielkich krzaków, bo jednym susem przeskoczyły przez pagórek nad brzeg rzeki. Zrobiłem to samo i znów w tej samej odległości, ale już bez ukrycia spojrzeliśmy sobie w oczy. Wilki cofnęły się w tył, jak błyskawica, ale zbliżająca się gromada gończych wraz z dojeżdżaczami, tamowała im drogę. Stanąłem już na odkrytym pagórku, spostrzegłem ponownie wilki, przeskakujące kilka razy to na jedną, to na drugą stronę pagórka, prawdopodobnie lód na jeziorze okazał się im za słaby, w tem więc rozpaczliwem położeniu jeden z nich rzucił się do rzeki, a dwa pozostałe całym pędem puściły się ku mnie.

Miałem czas przygotować się do strzału i ochłonąć z gorączki; mijać mnie musiały w odległości kilkunastu zaledwie kroków, to też obydwa zabiłem.

Podbiegłem jeszcze ku trzeciemu wilkowi, płynącemu przez rzekę, posłałem mu kilka strzałów, ale widocznie bezskutecznie, bo dopłynął do przeciwległego brzegu, otrząsnął się z wody, i szybko skrył się w krzakach.

Spostrzegły go i nadbiegły ogary, chciały nawet rzucić się za nim do rzeki, ale powstrzymał je nadjeżdżający dojeżdżacz.

Dzień ten miałem szczęśliwy, bo następnie zabiłem jeszcze sporego warchlaka i kilka zajęcy, to też w moich notatkach myśliwskich zapisałem go sobie, jako pamiętny i wart wspomnienia, z którem dzielę się i z wami bracia-myśliwi.

L. Łasace.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Bożykowce (gub. podolska). *we wrześniu.*

Jesień — głęboka jesień! Żółte, zwiędłe liście grubym kobiercem pokrywają przesyconą wilgocią ziemię; drzewa stoją nagie i smutne. Ptactwo przelotne tłumnie opuszcza nasze podolskie stepy i niwy, dążąc do ciepłych stron. Wyemigrowały już przepiórki, jaskółki, bociany, opuszczą nas wkrótce kaczki, bekasy i inni goście z dalekich krain.

Bekasów mieliśmy wogóle niewiele; polując, coprawda niedawno na błotach, znalazłem ich dosyć, lecz był to tylko widocznie „nalot". Kaczek było więcej, niż w roku zeszłym, ukrywają się one jednak w gęstych i niedostępnych dla psa i myśliwego oczeretach, z których dopiero po zachodzie, o zmroku, porywają się i na żer lecą.

W pierwszych dniach września rozpoczęły się w Płoskirowie polowania z biglami i strzelanie do gołębi. Nemrodzi jednak nasi niezbyt chętnie śpieszą na łowy tego rodzaju, po części dlatego, że w nieodpowiednim i niedogodnym czasie zostały urządzone; sprawy publiczne, polityka i nadchodzące wybory całkowicie pochłonęły ich czas i uwagę.

Zauważyliśmy jednak w Płoskirowskim „Cuntry Clubie" kilku znanych u nas myśliwych, na łowy one przybyłych.

Wkrótce rozpoczną się w kniejach okolicznych polowania z naganką. Tego rodzaju łowy najbardziej przypadają do gustu myśliwym tutejszym; męczące chodzenie po grząskich błotach w pogoni za bekasami, jak również szukanie przepiórek w kukurydzach nie dostarcza im tyle przyjemności, ile polowania w kniei, z któremi rywalizować mogą jedynie wiosenne ciągi słonek.

Kwiczoły, zwykle tłumnie nas odwiedzające, jak również słonki, nie pojawiły się jeszcze, oczekujemy ich jednak lada dzień.

Dubeltów nie widywałem wcale.

S. C. C.

Listy do „Łowca Polskiego".

Najmocniej przepraszam Szanowną Redakcyę za zabieranie jej czasu swym listem, lecz, będąc młodym myśliwym i nie mogąc dojść do pożądanych wyników w interesującej mnie sprawie, zmuszony jestem uciec się do zasięgnięcia porady, tusząc sobie, że Szanowna Redakcya nie odmówi mi kilku słów wyjaśnienia na łamach swego pisma. Rzecz ma się, jak następuje: Rok rocznie spędzam kilka tygodni na polowaniu w Siedleckiem. W lasach majątku, w którym poluję, dziki bywają często, lecz przychodzą jedynie w nocy, wynosząc się na dzień do sąsiednich, obszerniejszych lasów. Parokrotnie próbowałem zaczaić się na nie w nocy, lecz bezskutecznie. Dziki zapewne zwęszyły obecność człowieka i ominęły moją kryjówkę. Obecnie, w listopadzie lub grudniu, wybieram się znowu i chciałbym ponownie próbować szczęścia. Otóż pragnąłbym bardzo dowiedzieć się, jak mam postępować, aby osiągnąć dobry rezultat. Głównie chodzi mi o to, jaką przynętę założyć i jak radzić sobie, aby dziki nie zwęszyły człowieka. Radzono mi założyć padlinę, lecz padlina nie zawsze jest pod ręką, może więc lepiej byłoby uciec się do innej przynęty. Może więc Szanowna Redakcya zechce mię oświecić w owej sprawie, a może jaki doświadczony myśliwy zabierze głos obszerniejszy na łamach „Łowca Polskiego"? Sprawa ta jest nader ciekawa dla ogółu młodych myśliwych i traktowa-

na w sposób rzeczowy i praktyczny, a nie gawędziarski, mogłaby wielu oświecić i nauczyć.

Drugą sprawą jest wybór broni. Obecnie pragnę kupić sztucer, lecz będąc człowiekiem niezamożnym, chciałbym nabyć rzecz praktyczną i względnie niedrogą. Uwagę moją zwróciły sztucery automatyczne Winchester'a, lecz nie wiem, czy jest to broń dobra. Zdaje mi się również, że kaliber 32 lub 35, w jakim ową broń sprzedają warszawskie składy, jest nieco za mały na grubszego zwierza, jak np. na dzika. A może istnieją repetyerowe sztucery innych systemów i większego kalibru?

Raz jeszcze przepraszając za zabieranie czasu i utrudzanie swemi osobistemi sprawami i oczekując łaskawej odpowiedzi, kreślę się z szacunkiem

Feliks Rutkowski,
w Kaliszu.

Co do pierwszej kwestyi—radzimy Szanownemu Panu, aby, siadając na zasadzkę, postarał się uprzednio przekonać, skąd dziki wychodzą, a wówczas wybrać miejsce do czatowania, tak, aby ono znajdowało się względem drogi dzików z wiatrem, a nie pod wiatr. Jeżeli zachodzi trudność w dostaniu padliny, to można położyć na zanętę kartofle lub marchew, ale dla większej pewności dobrego rezultatu należy przez jakiś czas zanętę kłaść w jednem miejscu, zbadawszy uprzednio, którędy dziki najczęściej przechodzą. Gdy się już dostatecznie zanęcą, można być prawie pewnym, że codzień do tego miejsca wracać będą, a wtedy dopiero udać się na zasadzkę.

Co do drugiej kwestyi, sztucera taniego nigdy się nie opłaci kupować, gdyż sztucer musi z konieczności rzeczy, być bronią precyzyjną, a jako taka — musi zawsze drożej kosztować. Nie radzimy Szanownemu Panu używać do polowania na dziki broni małokalibrowej, jak np. karabina automatycznego Winchester'a. Najbardziej odpowiednie do polowania na grubego zwierza są, według nas, sztucery dubeltowe do bezdymnego prochu, jak np. sztucery 11-milimetrowe (cal. 450) Heima z Subl. Sztucer taki kosztuje 275 rb. Jeśli cena ta jest dla Szanownego Pana zbyt wygórowaną, to radzimy przekonać się, czy śrótowa broń Pańska bije dobrze kulami na odległość 50 do 60 kroków i jeśli broń ta jest czokowa, to używać do niej kul specyalnych, np. Witzlebena lub ks. Szyrynskiego-Szichmatowa. Strzelając z własnej broni śrótowej kulami, ma się tę wygodę, że można łatwiej robić rzutowe strzały, gdyż jest się włożonym do dubeltówki przy strzelaniu śrótem. Anglicy dlatego używają „paradoksów" do polowania na wielkie, niebezpieczne zwierzęta, jak lwy, tygrysy i t. p., że paradoksy wagą i ujęciem są więcej zbliżone do broni śrótowej, aniżeli sztucery, a nadto nie posiadają zwykle wizyerów, które dla niewprawnych utrudniają nadzwyczaj szybkie strzelanie. Paradoksy jednak, jeśli są dobre, są zawsze bardzo drogie i dlatego dla ludzi mniej zamożnych, a posiadających bronie śrótowe z czokami, wynaleziono kule, o których wspomnieliśmy powyżej.

Redakcya.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 16 października. Zarząd Główny urządzenia gruntów i rolnictwa prosi o coroczne dostarczanie wiadomości o tutejszych pismach myśliwskich, już istniejących lub ukazać się mogących. Zarząd Główny żąda wymienienia: tytułu pisma, terminów, w jakich wychodzi, wysokości prenumeraty (z przesyłką, z ulgami i t. p.), imię i imię ojca wydawcy i redaktora, adres redakcyi pocztowy, telegraficzny i stacyi kolei żelaznej. Rada w odpowiedzi powiadomi Zarząd Główny urządzenia gruntów i rolnictwa, że w Warszawie i wogóle w Królestwie Polskiem wychodzi tylko jedno pismo, poświęcone myślistwu, mianowicie „Łowiec Polski".

Posiedzenie Wydziału ochrony i polowań, 21 października. Wyznaczono zostały następujące tereny i terminy na tegoroczne zimowe polowania dla Członków:

1) Górki-Łucznica (tereny Osieckie) 23 listopada (15 strzelb); prowadzący polowanie p. Daszkiewicz.
2) Wrotnów (tereny Miedzeńskie) 30 listopada (15 strzelb); prow. polow. p. Wysocki.
3) Miednik II (tereny Miedzeńskie) 7 grudnia (15 strzelb); prow. polow. p. Starzyński.
4) Pola Osieckie (tereny Osieckie) 14 grudnia (16 strzelb); prow. polow. p. J. Zarembski.
5) Sobienie-Warszewice (tereny Osieckie) 21 grudnia (18 strzelb); prow. polow. p. Łączkowski.
6) Sobienie-Sobienki (tereny Osieckie) 28 grudnia (19 strzelb); prow. polow. p. Łączkowski.
7) Miednik I (tereny Miedzeńskie) 4 stycznia (15 strzelb); prow. polow. p. Starzyński.

W polowaniach więc powyższych może przyjąć udział 113 członków. Naturalnie, polowania powyższe odbędą się w powyższych terminach, o ile będzie odpowiednia pogoda. W razie nieodpowiedniej pogody, wszystkie te terminy ulegną zmianie.

Postanowiono również odstąpić członkom prawo urządzenia 3 małych polowań po 12 strzelb na mniej zwierzynnych terenach: 1) Regut, 2) Grzebowilk i 3) Rogalec, za opłatą po 50 rb. na rzecz Towarzystwa, z prawem korzystania z usług łowczego i służby myśliwskiej Towarzystwa.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej w d. 25 października zaliczeni zostali w poczet Członków Rzeczywistych następujący kandydaci: pp. Starzyński Jan z Warszawy, Makowiecki Antoni z Warszawy, Mieszczański Roman z Warszawy.

Prasa warszawska zaalarmowana została wiadomością zatytułowaną „Psia muzyka", w której występuje przeciwko naszemu Towarzystwu, z powodu niepokoju, jaki sprawiają jakoby psy członków, trzymane w celach sprzedaży i innych—w lokalu Towarzystwa. Psy owe wyciem i skowyczeniem mają niepokoić sąsiednich mieszkańców całemi nocami. Mieszkańcy sąsiednich domów nie protestują z tego powodu podczas trzydniowej wystawy psów, lecz nie chcą być niepokojeni przez rok cały.

Rzecz tymczasem przedstawia się tak, że oprócz trzech dni wystawy, psów wcale w lokalu Towarzystwa niema, bowiem członkom nie wolno psów przyprowadzać z sobą do lokalu. Przeto żadne psy po nocach sąsiadów niepokoić stale nie mogą. W ostatnich dniach ktoś zostawił młodego psiaka, po którego miał się zgłosić strzelec, aby go zabrać na wieś. Strzelec się spóźnił, psiak więc pozostał na noc i naturalnie trochę ujadał. Na drugi dzień psa zabrano i na tem koniec. Tymczasem usłużna reporterya, wprowadzona w błąd przez jakiegoś nerwowca, wywołała „burzę w szklance wody".

Towarzystwo żadnego handlu psami nie prowadzi, psów w Warszawie nie chowa, i cały ten fałszywy alarm był zbyteczny. Sami członkowie, którzy się co wieczór zbierają w lokalu Towarzystwa, nie znieśliby owej psiej muzyki, o której doniosła prasa warszawska.

OGÓLNE ZEBRANIE.

W d. 30 października odbyło się Ogólne Zebranie Członków tutejszego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, w którem wzięło udział 80 Członków. Przewodniczył p. Blumental. Na asesorów zaproszeni zostali pp. Łępicki i Kaun, na trzymającego pióro — p. Godycki-Cwirko.

Po odczytaniu i zatwierdzeniu protokółu z poprzedniego Zebrania, na sali zapanowało ponure milczenie, bowiem prezydyum wezwało zebranych do dyskusyi nad sprawozdaniem, którego już nie czytano, gdyż wszyscy Członkowie otrzymali je w domu. Jak już wiadomo, sprawozdanie to sporządzone zostało w ciągu ostatnich paru miesięcy, bowiem poprzednie, wskutek defraudacyj kasowych urzędnika kancelaryjnego i pofałszowania przezeń ksiąg buchalteryjnych, było unieważnione. Mozolna praca sprawdzenia i przerobienia książek za czas od d. 1 stycznia 1906 r. do d. 14 lipca 1907 r., dokonana została z całą drobiazgowością i akuratnością, a rezultatem tej pracy było wykrycie sprzeniewierzenia, przekraczającego sumę 9,000 rb. Szło więc o oddanie winnego pod sąd—i to właśnie spowodowało ponury nastrój sali.

Po pewnych uzupełniających rzecz wyjaśnieniach p. Fabiana, Członka komisyi, której zlecono badanie ksiąg, oraz p. Korsaka, kasyera z wyborów, sekretarz Tow., p. Paszkowski, odczytał list brata winowajcy, urzędnika jednej z instytucyj tutejszych, który, mając zaledwie 1,100 rb. rocznej pensyi, żonę i troje dzieci, oświadczył gotowość przyjęcia na siebie obowiązku spłacenia ratami sprzeniewierzonych przez lekkomyślnego brata, sum Towarzystwa, aby ratować cześć nazwiska, które nosi, a które dotąd było nieskalane żadnem przestępstwem. Zebranie oferty tej, naturalnie, nie przyjęło i postanowiło zaniechać dochodzenia karnego, biorąc natomiast od winnego zobowiązanie spłaty ratami sumy sprzeniewierzonej.

Załatwiwszy się w ten sposób z tą smutną sprawą, zebrani przeszli do spraw myśliwskich.

Wydział Ochrony i Polowań, z uwagi na znaczne koszta utrzymania terenów myśliwskich i nie chcąc nadwerężać funduszów ogólnych Oddziału, pragnął, aby myśliwi, przyjmujący udział w polowaniach na tych terenach, przyjęli na swe barki część owych kosztów, aby one nie całym swym ciężarem spadały wyłącznie na kasę Towarzystwa. Wydział budżet swój, wynoszący 10,000 rb. rocznie, często bardzo przekracza i nie widzi możności poczynienia znaczniejszych oszczędności w swoich wydatkach, przeciwnie, chcąc utrzymać zwierzostany na należytym poziomie, zwłaszcza na niewdzięcznych terenach Osieckich, winienby czynić nakłady większe, gdyż w danych warunkach zwierzostan musi się zmniejszać. Chciał przeto Wydział, aby Członkowie za prawo polowania na terenach Oddziału płacili rocznie po 30 rb. Suma to nieznaczna, bowiem wszyscy myśliwi, stowarzyszeni w kółka myśliwskie, wiedzą dobrze, ile to polowanie takie kosztuje. Znalazł się jednak spory zastęp Członków, którzy, twierdząc, że polują na tych terenach tylko jeden raz w zimie, nie uważali za potrzebne wprowadzać proponowanej opłaty. Wniosek, poddany pod głosowanie, na 76-iu głosujących otrzymał 35 białych i 41 czarnych gałek. Przepadł więc 6-iu głosami wniosek, którego przyjęcie dałoby możność wszystkim głosującym brać w przyszłości udział w polowaniach, które możnaby śmiało zaliczyć do pierwszorzędnych w całym kraju. W tym stanie rzeczy wielu z nich zadowolnić się będzie musiało polowaniami, dającemi na zimowym rozkładzie po 80—100 zajęcy na 20 strzelb. Lepsze bowiem tereny Miedzeńskie, jeśli będą opolowywane zbyt forsownie, bez odpowiedniego, zewnętrznego zasiłku, na który Wydziału nie stać, łatwo spaść mogą do tej normy, jaką dają polowania Osieckie.

Wczoraj też postanowiono, aby tereny Osieckie, jako kosztujące zbyt drogo, w razie wynalezienia innych, odpowiedniejszych, skasować.

Uznano też potrzebę urządzenia w tym roku specyalnego polowania dla zaproszonych gości.

Ze spraw klubowych zdecydowano upoważnić Radę do mianowania Członka, p. Antoniego Miernowskiego, wice-gospodarzem lokalu na miejsce zmarłego intendenta, ś. p. Złobickiego. Jest to bardzo szczęśliwa myśl, bowiem p. Miernowski, mający duże doświadczenie w sprawach życia klubowego różnych stowarzyszeń warszawskich, przy swoich dobrych chęciach dla naszego Towarzystwa, może mu oddać duże usługi.

Projekt zaliczania Członków innych Oddziałów w poczet Członków naszego Oddziału bez balotowania — nie uzyskał większości.

WIADOMOŚCI OSOBISTE.

W dniu 24 października o godzinie 10½ rano, w kaplicy Przytuliska ks. prałat Szcześniak połączył dozgonnym węzłem małżeńskim d-ra Stanisława Zaborowskiego z panną Heleną Gnoińską. Dr. Stanisław Zaborowski, znany w szerokich kołach lekarz, jest też znanym powszechnie sportsmenem-myśliwym i autorem prześlicznych obrazków myśliwskich, drukowanych w naszem piśmie, jak „Na rojstach", „Na niedźwiedzia", „Na ryku" i t. d. Panna Helena Gnoińska jest córką b. dyrektora kolei Terespolskiej. Ślub był cichy, z powodu niedawnego zgonu matki panny młodej, i ceremonia ślubna odbyła się w najściślejszem kółku rodzinnem. Natomiast ze wszystkich stron kraju i zagranicy napłynęło mnóstwo kwiatów i powinszowań, do których i my przyłączamy tu najserdeczniejsze życzenia dla nowożeńców. Niechaj św. Hubert, pod którego znakiem pan młody tak wiernie i godnie służy, wyprosi młodej parze błogosławieństwo Pana Niebios, darzące ją zdrowiem i pomyślnością *ad multos annos!*

J. Z.

Drobiazgi myśliwskie.

Żubr w Warszawie. W sali wchodowej w hotelu „Bristol" wystawiony jest czasowo okaz wypchanego żubra białowiezkiego. Żubra tego zabił p. Tadeusz Siehen, o czem pisaliśmy we właściwym czasie, dając podobiznę tego niezwykłego trofeum.

Zabójstwo nadleśnego. W niedzielę, d. 20 października, w Bliżynie, w pow. koneckim, gdy nadleśny lasów bliżyńskich, Bolesław Wróblewski, powracał po nabożeństwie z kościoła w towarzystwie kilku ludzi, dwóch nieznajomych koło parku miejskiego strzeliło kilkakrotnie doń z rewolwerów i położyło go trupem na miejscu. Nieznajomi znikli w gęstwinie parku. Wkrótce potem przybyło do mieszkania zabitego nadleśnego dwóch ludzi, którzy przyłożywszy rewolwer do głowy matki Wróblewskiego, zażądali od niej pieniędzy, a gdy ta odpowiedziała, że pieniądze są wszystkie u syna, nieznajomi oznajmili, że syn jest już zabity; zabrali dubeltówkę Wróblewskiego i ode-

szli, pozostawiając zrozpaczoną matkę. S. p Wróblewski liczył lat 34 i w Bliżynie pracował półtora roku. Odznaczał się energią, lecz, pomimo częstokroć wynikających zajść z kłusownikami, otwartych wrogów wśród miejscowej ludności nie miał.

Dziwna pogoń. Wśród bredni i plotek, jakie krążyły w prasie warszawskiej i zagranicznej z powodu jakiegoś tajemniczego wypadku hr. Maryi Adamowej Zamoyskiej, „Epoka" w № 248 z d. 19-go października zamieściła następujący kwiatek reporterski:

„Hrabia Adam Zamoyski z agentami śledczymi, oraz naczelnik powiatu z psami gończymi szukają wzdłuż plantu.

„Psy, węsząc i tropiąc ślady ludzkie, dobiegły do rzeki Bug, co pozwala przypuszczać, że w rzece tkwi rozwiązanie zagadki.

„Przetrząśnięto zarośla, puszczono psy do wody, dotychczas jednak nic nie znaleziono".

Jak to sobie wyobrażał autor tej notatki owo tropienie psów gończych śladów ludzkich? Przecież gończe tropią zwierza, nie człowieka, i jeżeli doszły aż do Buga, to pewnie za zającem lub sarną,—a nie za zbrodniarzem. Do tropienia ludzi trzeba mieć psy specyalnie układane, i gończych do tego się nie używa, lecz zmyślnych psiaków, bez względu na rasę. Dowodem tego psy policyjne, które nie mają żadnego podobieństwa do gończych, o czem bez głębszych studyów kinologicznych, autor notatki z „Epoki" mógłby się przekonać choćby z pokazów w kinematografach warszawskich, tak „pięknie" przedstawiających pogoń za mordercami nawet po dachach domów.

Koniec kłusownika. W d. 18 października w południe, kiedy straż leśna z dóbr hr. Zamoyskiego razem z wojskiem i policyą rewidowała lasy pomiędzy Lechowem a Zieleńcem, szukając zaginionej Adamowej hr. Zamoyskiej, spostrzeżono o wiorstę od Zieleńca jakiegoś człowieka z fuzyą, który, ujrzawszy wojsko, usiłował zbiedz. Kiedy nieznajomy na krzyki „Stój!", nie zatrzymał się, wojsko dało salwę i położyło go trupem. Jest to znany kłusownik, Władysław Krajewski, ze wsi Wielgie.

Zmysł oryentacyjny psa gończego. „Segerberger Krusblat" donosi: P. Evers z Rade koło Rendsburga jechał niedawno ze swoim gończym psem z Rendsburga do Rickling koleją, a stąd wozem do swej posiadłości Brandsmühle przy Blunk. Tutaj zatrzymał się on ośm dni, poczem pojechał wozem do Segeberga, a stąd koleją do Oldesloe. Pies pozostał w Brandsmühle. Dziesięć minut po odjeździe spostrzegł on nieobecność swojego pana i począł go szukać. Nie mając jednak żadnych śladów, - p. E. odjechał bowiem wozem,—wyszukał sobie drogę do Rade i pomimo, że drogi tej, mającej przeszło 60 klm. nie znał, przebył ją w 4-ch godzinach, robiąc zatem więcej, jak 15 kilom. na godzinę. Tym niezwykłym rekordem wystawił pies jaknajlepsze świadectwo swemu zmysłowi oryentacyjnemu.

46 psów policyjnych zgłoszono już w Hagen do „Związku popierania hodowli psów, używanych do pomocy policyi". Związek urządza konkursy niezależnie od popisów kynologicznych, które się odbywają w Berlinie i świadczą o zmyślności psów i pożytku, jaki z niej może ciągnąć kryminalistyka. Niemiecki minister spraw wewnętrznych wyznaczył 200 m. nagrody właścicielowi najlepiej tresowanego psa. Konkursy psów policyjnych odbywały się niedawno w Paryżu z bardzo korzystnym wynikiem.

Niezwykły pomiot. W niemieckiem mieście Stade suka-wyżlica „Juno" pomiotła 16 szczeniąt odrazu. Ma ona 2 i pół roku, a był to pierwszy pomiot. Wszystkie szczenięta są dobrze rozwinięte fizycznie i zdrowe.

Angielskie wystawy psów. W sierpniu r. b. urządzono w Anglii 24 wystaw psów. z czego 12 jednego dnia w różnych miastach. Na niektórych wystawach było po 600 psów; nagrody pieniężne jednej z wystaw uczyniły około 1,000 rb.

Tresura psa, jako metoda fizyologiczna. W ostatnich czasach ukazały się dwie ciekawe rozprawy pp. Kalischera i Samojłowa, z których widać, jak wielkie usługi może oddać tresura zwierząt sprawie poznania ich psychiki. Obie rozprawy dotyczą psa; p. Kalischer badał czucia słuchowe, p. Samojłow czucia barwne. Pierwsy tresował psa w taki sposób, że mógł on chwycić kawałek mięsa tylko przy dźwiękach form określonej wysokości, wydobytych z organów lub harmonijki. Okazało się, że zwierzęta bez trudu mogą odróżnić dany ton, od innych różniących się nawet tylko o pół tonu. Nawet w akordach pies może wysłuchać ton, będący hasłem do jedzenia. Wynikałoby stąd, że pies posiada zdolność bardzo subtelnego rozróżniania tonów, nawet umiejętność bezwzględnego oceniania wysokości. Po wycięciu jednego płata ciemieniowego nie można zauważyć żadnych zmian w zachowaniu się zwierzęcia, nawet po wycięciu obu płatów tresura nie znika, tylko potrzebne są bodźce znacznie silniejsze, niż normalne. Przypuszczać przeto należy, że wiele reakcyj, co do których korowego pochodzenia nie mieliśmy wątpliwości, może się odbywać z udziałem ośrodków podkorowych. P. Samojłow w badaniu, wykonanem razem z p. Teofiłaktowową, stara się poznać zdolność rozróżniania barw u psa, przyczem główną uwagę zwrócił na jednakową jasność obu barw, gdyż różnice takie mogą łatwo służyć za źródło błędów. Plan badania był następujący; drewniane pudełko sześcienne bez dna i przodu stało na podłodze; wymiary pudła były 40 + 40 + 40. Stronę przednią pudła zakryto kartonem nieokreślonej, szaro-brunatnej barwy, a w środku tej pokrywy umieszczono krążek z barwnego papieru 25 m. średnicy. Do pudełka kładziono kawałek ciasta. W odległości 5 metrów od pudła było zrobione z krzeseł wolne przejście; na komendę w tem przejściu stawał pies tak, żeby mieć przed oczami pudełko, a na dany znak podbiegał do pudła, przewracał je i w nagrodę mógł zjeść ciastko. Następnie po dobrem wytresowaniu umieszczano nie jedno, ale trzy identyczne pudełka w odległości 40 cm. jedno od drugiego. Na jednem z nich umieszczano krążek barwny, a na dwu innych krążki szare. Ciastko zawsze wkładano do pudełka z krążkiem barwnym. Jeżeli pies rozróżnia barwy, to powinien się nauczyć zawsze odnajdować pokarm w pudełku z krążkiem barwnym. Krążki szare wycinane były z seryi papierów od białego (№ 1) do czarnego (№ 50). Zmiany jasności w tej seryi są tak małe, że w odległości 5 m. ledwo można je dostrzedz. W ten sposób próbując papiery różnego stopnia jasności, można było wyłączyć, a właściwie oznaczyć jej wpływ. Żadanie to, pozornie proste, okazało się w praktyce bardzo trudnem. Nie można psa wytresować tak, żeby on zawsze rozróżniał krążek barwny od szarego, nawet w razie bardzo różnych stopni jasności; 5% błędów zawsze jest możliwe. W razie jasności mniej więcej podobnej, ilość błędów się zwiększa i trzyma się na takiej wysokości, że trudno stanwczo twierdzić, czy pies barwę rozróżnia, czy też nie. Najłatwiej stosunkowo udają się doświadczenia z barwą zieloną (1 seryi Zimmermanna). W pierwszej seryi uczyniono 613 doświadczeń i błąd średni wynosił 30%, w drugiej 569 doświadczeń i błąd 10%. Najwięcej błędów robił pies w doświadczeniach z szarym papierem od № 10 do 20, dla № 16 i 15 błąd 26%. Prócz tego w № 49, t. j. prawie czarnym, pies na 35 doświadczeń omylił się 11 razy, czyli 31%, a z № 47 na 10 doświadczeń nie zrobił błędu wcale. Rezultaty doświadczeń sprawiają wrażenie takie, że psa można nauczyć rozróżniania barw, ale jest to dlań połączone z wielką trudnością. Jeżeli np. modyfikujemy odpowiednio formę znaków barwnych, to pies nie kieruje się barwą, ale kształtem.

Wilki na Bukowinie. Na Bukowinie ukazały się stada wilków w niezwykłej o tej porze ilości Przed paru tygodniami wilki wymordowały w lesie, pod Dorną, około 300 owiec. Zarząd lasów skarbowych wytruł znaczną część szkodników.

Wilk na ulicach Berlina. Z wagonu na dworcu kolejowym Bixdorf, pod Berlinem, wyłamał się wilk, przeznaczony dla handlarza dzikich zwierząt, Hagenbecka w Hamburgu, a uciekając, wpadł na przedmieście berlińskie, Tempelhof, ukąsił w nogę dziecko i wreszcie ukrył się w altance ogrodowej przy Bergstrasse, gdzie go policyanci zastrzelili.

Obfity rozkład. Na Morawiu odbyło się polowanie na kuropatwy w dobrach Hrottowice pod Wysokopolem, należących do p. Antoniego Drehera. Polowanie trwało 3 dni. Przez ten czas ubił właściciel 600 kuropatw, książę Braganza 752, książę Trautmansdorf 712, hr. Erdödy 560, hr. Zichy 446, hr. Karol Traun 384, v. Schoeller 253, Fr. Aich 648, J. Aich 481, Hamburger 277. Przy przeszukaniu znaleziono jeszcze około 300 sztuk.

Walkę dwóch kozłów obserwował myśliwy Cloos w zeszłym miesiącu w Neckargemuend w Niemczech. Kozły goniły się najprzód w lesie, a potem w polu. Tu się zetknęły, bodąc się gwałtownie. Nagle jeden z nich, szóstak, upadł i pozostał bez ruchu, podczas gdy głowy obydwóch były jeszcze połączone. Zwycięzca wlókł potem pokonanego za sobą kawał drogi, zanim mógł uwolnić głowę; oderwawszy ją, stratował jeszcze nogami leżącego, poczem uciekł przerażony do lasu. Znaki na głowie zdechłego świadczyły, że róg przeciwnika, przedziurawiwszy oko, dostał się do mózgu szóstaka.

Rogi przedpotopowe. W Sataruni, w pow. bohorodczańskim, w Galicyi na gruntach kopalni wosku ziemnego niemieckiej firmy Campe z Hamburga, natrafiono w 13-metrowej głębokości od powierzchni ziemi na szkielet jakiegoś przedpotopowego zwierzęcia. O ile sprawdzono, nie są to kości mamuta, lecz w każdym razie równie ciekawego potwora, zachowane wybornie w pokładach wosku. Najciekawszą rzeczą jest kawał skóry tego zwierza, wynoszący 3 i pół metra długości, pokryty zbutwiałem już włosiem na 18 cm. długiem. O niezwykłym wzroście i ogromnych kształtach swiadczą poszczególne części szkieletu, wydobywane kawałkami na powierzchnię. Dwa rogi, każdy na 1 m. 80 cm. długości, przedstawiają się nader pięknie, są kształtu rogów wołów węgierskich, o lśniącym, czarnym połysku. Taki sam połysk ma uzębienie, wydobyte z kawałkiem szczęki 40 cm. długim. Pojedynczy ząb ma 16 cm. długości, 8 cm. szerokości, kości piszczelowe wynoszą każda po 1 m. długości, golenie są wielkości dużej głowy.

Psy annamskie. W „Kartkach z podróży“ Władysława J., kapitana armii francuskiej, drukowanych w zeszłym miesiącu w „Słowie“ warszawskiem, autor, opisując „cesarstwo Annamskie“ w Azyi, przytacza następujące szczegóły o psach tamtejszych: „Przy wyjeździe, dwa nasze psy: Hoj-tot (po annamsku—dobry stróż) i Merty (po chińsku—czarny) skaczą i szczekają z radości. Psy annamskie z młodu są podobne do niedźwiedzi, z wiekiem, przybierają formę wilków. Znakomici stróże. Siedzą w domu kamieniem i nikogo za nic w świecie nie wpuszczają. To też odprowadziwszy nas kilka kroków, powracają natychmiast na swoje stanowiska. Annamici jedzą psie mięso; psy, możebne do jedzenia, posiadają języki z czarnemi plamami. Annamici tuczą psy i sprzedają na targach, jak prosiaki.

Wędrówka ptaków. W d. 26 września widziano nad Renem klucz żórawi, ciągnących do ciepłych krajów. Natomiast kwiczoły opóźniły w tym roku wędrówkę; nie widziano ich jeszcze w październiku tam, gdzie bywają w końcu września.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ **J. O.** *(C. d.).*

Pies.

541. Zgrabny, jak pies do wiązki siana.
542. Zimno, choć psy ganiać.
543. Zimno, żeby się pies urwał.
544. Na złe psy wyją.
545. Zmarszczył się, jakby mu psy zjadły krupy.
546. Znają go, jak pstrego psa.
547. Zna się, jak pies na gwiazdach
548. Żył, jak świnia, zdechł, jak pies.
549. Pies czuje żyda.
550. Błoto, że choć psy topić.
551. Jednym chartem straszysz, dwoma szczujesz, a wiele psów zająca śmierć.
552. Chce się, jak psu orać
553. Chudy, kiej pies.
554. Chwyta, jak pies flaki.
555. Chwyta się, jak pies jeża.
556. Ciasno, jak u psa w mordzie.
557. Ciepło, jak w psiej budzie.
558. Ludzie nie psy, ale mało lepsi.
559. Od psa gęby nie pożycza (wyszczekany).
560. Nie chce się iść, jak psu kija gryźć.
561. Szalony, ktoby chciał koniowi piętkami odwierzgnąć, a psu zębami się odgryźć
562. Kościelnych, much, psów, gachów, gdzie się zwęcą — trudno wygnać.
563. Łże, kiej pies
564. Milczy, jak pies.
565. Psi ma nos.
566. U psa oczu pożyczywszy (t. j. wyzuwszy się ze wstydu).
567. Opędza się, jak pies od much.
568. Pan z panem zje kapustę z jajem, a chłop z chłopem, jak pies, ze słoniną.
569. Pije, kiej pies.
570. Podobny z nosa do psa, z łysiny do świni.
571. Połknął, jak pies muchę.
572. Powstał na niego, jak na psa burego.
573. Skomle, jak pies.
574. Śmiały, jak żyd do psa na powrozie.
575. Twardy, kiej pies.
576. Umizga się, jak pies do kija.
577. Zje wilk psa, jak nie ma barana.

Pisklę.

1. Wodzi się, jak kwoka z pisklętami.

Pistolet.

1. Pistolet w wór, a sam w pokrzywę.

(C. d. n.)

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Hulewiczowi. Proch Walsrode marki „Sonne“ należy do grupy żelatynowanych prochów małodymnych. Ładunek słaby wynosi 2,1 g., mocny 2,27 g. przy 32 g. śrótu.

Przy szybkości V_1=335 m/sec, rozwija ciśnienia do 670 atmosfer (Rotweil rauchlos 466, Sokdl i Schultze 480, *E. G.* 500 atmosfer), powiększenie szybkości V_1 do 370 m/sec wywołuje podniesienie ciśnienia do 24% (do 380 atm.), podczas gdy u wymienionych prochów od 8 iu do 12%. Dym daje obłoczek widoczny. Rdzewienie, jak wogóle u prochów ziarnistych, występuje w stopniu bardzo nieznacznym. Na wilgoć proch ten mało jest wrażliwy, z powodu ścisłości ziarnka. Daje oddanie dość znaczne, w czem podobny jest do Imperial Schultze

Proch ten odznaczał się pierwiastkowo bardzo znacznemi ciśnieniami, postęp jednak w fabrykacyi ciśnienie obniżył. W każdym razie prochu Walsrode nie można używać do tanich broni, lekko zbudowanych, jest bowiem, z prochów małodymnych, najniebezpieczniejszy. *W. Słończyński.*

Panu T. Strzeszewskiemu. Żądany komplet z 1899 r. może Sz. Pan dostać w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Ś-to Krzyska Nr. 34) za rb. 4 k. 60.

Treść Nr. 21 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego“** Ś-to Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

O G Ł O S Z E N I A.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.